

Bransoletka.

Po trzydziestoletnim uprawianiu z powodzeniem wielkiem zawodu metresy, Leonja Balma postanowiła zejść z pola, nie chcąc dopuścić, aby zab czasu zmusił ją do tego. Od wielu już lat bowiem zawdzięczała urodę swoją, barwę włosów, smukłą figurę, gładką i ołsniewającą cerę twarzy kosmetyce, masażom, gimnastyce i umartwieniom wyłącznie; wiedziała więc, że nie zadługo wybijie godzina, kiedy wszystkie te sztuczne środki zawiodą i że schyłek ostatecznej jej piękności, z której była tak dumna, niechybnie się zbliża; a ponieważ nie na leżała do ludzi pragnących głową mur przebijać, miała zawsze w pamięci, aby zatrzymać się w porę i skończyć swą karierę z własnej swej woli nie zaś z musu.

Uśmiechała się jej wolność przytem: nie będzie obowiązana trawić długich godzin przy toalecie, odmawiać sobie smakolików, tłustych farszów, kremów i ciastek, za którymi przepadała, uśmiechać się i słodkie oczy robić na komendę!...

Kupiwszy sobie pod jednym z cichych i pięknych miast normandzkich wygodny dom, otoczony parkiem i ciągnącym się z nim sadem wraz z ogrodem warzywnym, Leonja przewiozła doń część mebli ze swego pałacyku w Manceau, resztę zaś sprzedała za poważną sumę wraz z mieszkaniami i zwolniła służbę za wyjątkiem wiernej Justyny, pokojówki swej od piętnastu lat, służącej bez zarzutu oraz powierniczki, umięjącej kłaść kabałę i wróżyć z kart.

Przeniósłszy się z nią na nowe mieszkanie nie umówiła na miejscu małżeństwo: żonę w charakterze doskonałej kucharki, męża zaś jako lokaja i szofera w jednej osobie, ogrodnikowi miejscowemu powierzając pieczę nad parkiem i ogrodami.

Pierwsze dni pobytu w nowej posiadłości były jednym pasmem radosnych uniesień. Od rana do wieczora chodząc po wszystkich kątkach Leonja Balma zachwycała się wszystkiem, szczęśliwa, że żywi się jajami od własnych kur oraz jarzynami i owocami z własnych ogrodów.

Po paru jednak tygodniach takiego entuzjazmu temperatura jego znacznie opadła: Leonja nie wydawała już niczem podlotek okrzyków radości na widok kury, znoszącej jaję lub świeżej runi trawnika po deszczu. Godziny spędzane w ciszy i bezczynności zaczęły jej ciężać. Robiła wprawdzie dla zabicia czasu długie spacery autem, z drobiazgową starannością układała skomplikowane menu swego obiadu, siadywała długo przy stole, czytała również — jakkolwiek niewiele, praktyczny jej umysł bowiem nie lubował się w fikcjach — mimo to wszystko jednakże, coraz większa nuda ogarniała ją z dniem każdym.

Pragnęła poprawdą nawiązać stosunki towarzyskie z poważnemi w mieście i bogatemi osobami... sobie równemi — w jej

pojęciu, nie wiedziała wszakże jak zabrać się do tego, znając notariusza tylko, mężczyznę poważnego, wdowca, traktującego ją z tak lodowatą grzecznością, że mimo wrodzonej pewności siebie czuła się ośmielona. Doktor zaś, którego wezwała z nudów właściwie, pod pozorem bólu gardła gburowaty staruszek, powiedział jej bez ogródki, by nie zabierała mu drogiego czasu, będąc zdrową jak ryba.

Trawiła więc dni samotnie, tyjąc potrosze, nie zaprzestając jednak kosmetycznych zabiegów w obawie nieodwołalnej utraty urody. Popołudnia spędzała zazwyczaj z książką, wachlarzem i papierosami w kiosku, stojącym na wzniesieniu w końcu parku, z widokiem na szosę i pola podmiejskie. Tam Justyna przynosiła jej podwieczorek: porto i ciastka.

Kiedy pewnego wieczora, na krótko przed obiadem spojrzła sennym wzrokiem na pustą w tej chwili drogę, młody chłopiec, dziecko prawie, przejeżdżał na swym bcyklu w niezbyt szybkim tempie. Mijając kiosk, podniósł wzrok na Leonję. Oczy ich spotkały się. Uśmiechnęła się bezwiednie swoim dawnym, profesjonalnym uśmiechem. Chłopiec zarumienił się. W tej samej chwili duże, czerwone auto w pełnym biegu zjawiło się na szosie. Młodzieniaszek, zapatrzonej w Leonję, spostrzegł je zapóźno i skręciwszy gwałtownie w bok, upadł wraz z bcyklem na drogę tuż przy kiosku.

Leonja zbladła. Po raz pierwszy w życiu egoistyczne jej serce drgnęło bezinteresowną troską. Zbiegła ze schodów przez ogrodową bramkę do chłopca, leżącego nieprzytomnie z krwią na czole.

Co robić? Czerwone auto pomknęło, nie zdając sobie widocznie sprawy z wypadku. Leonja więc wróciła copędzej do kiosku po karafkę z wodą i zmoczywszy koronkową chusteczkę przyłożyła ją do czoła i skroni rannego, który otworzył swe prześliczne błękitne oczy i utkwil je z wyrazem lęku i wdzięczności w oczach pięknej kobiety.

— Bardzo boli? — spytała Leonja.

— Nie — odparł dziecinny niemal głosem — dziękuję pani za jej dobroć. O mój Boże! Co się dzieje z moim bcyklem?

Wstawszy przy pomocy Leonji, obejrzał nieuszkodzoną maszynę i uspokoił się.

— Jeszcze raz dziękuję szanownej pani i żegnam — dodał.

— O, nie pozwolę na to! — zawołała kobieta — musisz pan odpocząć i wypić coś kolwiek. Proszę zejść do mnie na chwilę.

— Chętnie... — odparł po chwili wahania i wprowadziwszy bcykl do parku, wspomagany przez Leonję, chwając się, szedł po stopniach do kiosku.

Kiedy nazajutrz z rana obudziła się z rozkosznego snu, Justyna weszła do pokoju z bukietem w ręku, oznajmiając:

— Od pana Pawła Vasseur.

— Kwiaty! On przysłał mi kwiaty! — mówiła wzruszona Leonja, odwijając pa-

pier. — Ten drogi chłopiec! O, pogniwam się na niego za to! Włóż je do wody! Jakże śliczne!

— Co to? — zawołała nagle, dostrzegając złotą bransoletkę, cienką jak nitka wokoło łodyg — on przysłał mi klejnot? Co to znaczy, Justyno? Za kogo on mnie bierze?!...

— Nie chciałam mówić — odparła Justyna, jaskając się zmieszana — ale wszyscy w mieście wiedzą, że pani... Więc ten młody człowiek...

„Wiedział, ach, wiedział i za... zapłacił jej za wczorajszy wieczór — myślała Leonja, cała we łzach. Zdeptał, z błotem zmieszał jej bezinteresowną miłość! Wstyd i upokorzenie paliło ją... Nagle, przestała płakać, rozpatrując swą przygodę z innego punktu widzenia. Ból i wstyd ustąpił miejsca radości i dumie. A więc była wciąż jeszcze powabną, kuszącą, zdolną rujnować mężczyzn. Boć ten śliczny, ubóstwiany przez nią dzieciak zrujnował się dla niej. — Wszystkie swoje drobne oszczędności wydał z pewnością na kupno tej skromnej filigranowej bransoletki, by opłacić chwilę rozkoszy z nią.

— Drogi, drogi chłopiec! — szeptała z roztkliwieniem — jaki dumny, subtelny! — Jak umie się zachować!...

I, po skończeniu toalety, włożyła na swe piękne jeszcze ramie, między drogie bransolety ten cieniuchny krążek złoty... ostatni dar profesjonalny... najskromniejszy, lecz sercu jej najdroższy!...

Tłum. Jotsaw.



Sympatyczna para aktorska, Aillen Pringle i Lew Cody.

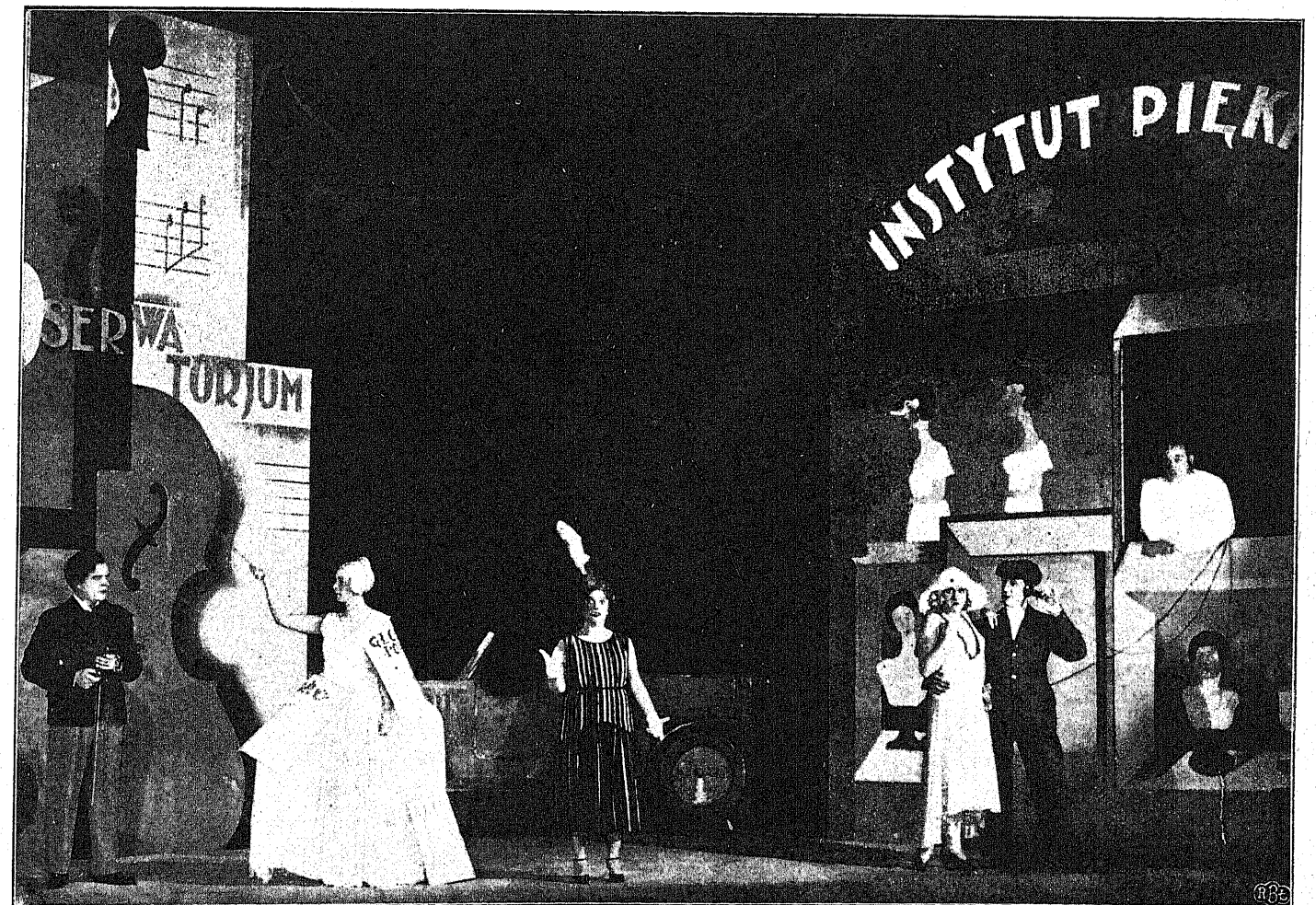


DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VII.

Niedziela, 6 kwietnia 1930 roku.

Nr. 14.

ORFEUSZ W PIEKLE.

Teatr Miejski w Łodzi wystawił ostatnio kapitalne, wesołe i barwne widowisko „Orfeusz w piekle“, będące satyrą na Łódź. Powyżej widzimy fragment z I-go aktu widowiska. Stoją od strony lewej do prawej pp.: Krzemieński w roli Orfeusza, Skrzydłowska, Łapińska, Zamorska w roli Eurydyki, Dąbrowski i Winawer.

Prawdziwą sensacją teatralną stolicy jest wystawienie w Teatrze Polskim oryginalnej sztuki znanej powieściopisarki, laureatki nagrody literackiej m. Łodzi, p. Zofji Nałkowskiej p. t. „Dom Kobiet”. Trzyaktowy ten utwór sceniczny jest debiutem p. Nałkowskiej na polu dramaturgii, debiutem bardzo interesującym, przede wszystkim jako zwierciadło nastawień myślowych i estetycznych tendencji autorki. Sensacyjność sztuki Nałkowskiej nie polega oczywiście na tem, że w „Domu Kobiet” występują same — kobiety: jeśli tę sztukę nazwalibyśmy sensacyjną, to dla przyczyn głębszych i poważniejszych, związanych z samą koncepcją utworu i jego strukturalnym wyrazem, gdyż zarówno pierwsza, jak i druga odbiegają daleko od współczesnych scenicznych banalności.

Według zwierzeń autorki, rozsypanych dość obficie w przedpremierowych wywiadach prasowych, zamiarem jej było po pierwsze — unaocznic zmiany wspomnień przeszłości, zachodzące ciągłym procesem w świadomości ludzkiej, i po drugie — dowiedzieć, że pomiędzy jednym człowiekiem a drugim leżą niezgłębione przepaści myśli: odczuwać, czyli że — mówiąc słowami Dickensa — „jeden człowiek dla drugiego pozostaje wieczną i niezgłębioną tajemnicą”. Aby osiągnąć swe zamierzenia, autorka załadnia „Dom Kobiet” przedstawicielkami trzech czy nawet czterech pokoleń jednej rodziny, z których każda posiada, oczywiście, własną przeszłość, własne wspomnienia, własne dramaty, tajemnice i niedomówienia. Akcja, nosząca charakter raczej retrospektywny, toczy się paroma równoległymi strumieniami, czynnikami zaś wiążącym indywidualne przeżycia tych wódw, rozwódek, pańien etc. i podkreślającym w sposób dość aforystyczny ale niezawsze oryginalny pewne założenia autorki jest babka, dobra, wyrozumiała i rozsądna. Najsilniejszym w sensie dramatycznym członem sztuki jest historia ucieczki do „Domu Kobiet” młodej dziewczyny, Laszówny, która pragnie schronienia przed ubiegającym się o nią natarczywie mężczyzną. Dziewczyna ta wnosi w „Dom Kobiet” moment niespodzianki, jak się bowiem okazuje, jest ona t. zw. naturalną córką nieżyjącego męża jednej z mieszkanek „Domu”, dla której ta sprawa stanowi prawdziwą rewelację. Koniec końców, miłość ścigającego Ewę mężczyzny triumfuje nad klasztorami rygorami „Domu Kobiet”. Niechaj młodość święci swoje prawo, zaś te, którym nie pozostało już nic prócz rozpamiętywać o przeszłości, niech szukają pociechy czy rozrywki we wzajemnych zwierzeniach, pocieszeniach, dasach i kłótniach.

Sztuka Nałkowskiej ma podkład par excellence intelektualny, cała jej siła spoczywać powinna w zasadzie w mocnych a misternych wiązaniach dialogów, które jednak nie zawsze nabierają prawa do tych określeń. Nerw dramatyczny, który powinien ożywiać ciekawą niewątpliwie dialektykę autorki i prowadzić akcję sztuki do określonych celów scenicznych, działa zbyt



Mary Philbin i Norman Kerry — znakomity duet filmowy niezapomnianych bohaterów filmu p. n. „Dziewczyna z karu zeli”.

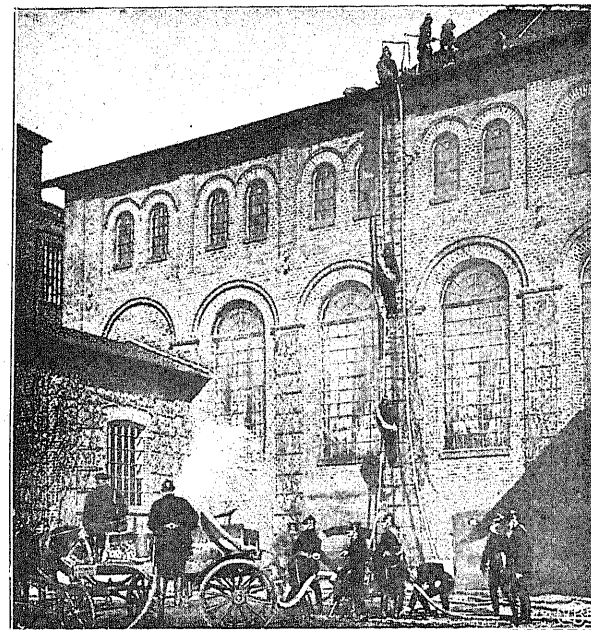
słabo i niepewnie, przez co następuje stale okazja do stawiania zarzutów rozwickłości, mrtwości itp. Jednym z najpoważniejszych krytyków stołecznych tak m. in. charakteryzuje te słabe strony „Domu Kobiet”: „Słuchacz w teatrze nie ma czasu zestawiać porównywać i zastanawiać się. Tem bardziej, że te wszystkie panie rozpałmują i marzą raczej obok siebie, mimo się, niż razem z sobą. Każda sobie, jedna nie słucha drugiej. No, tak bywa, to jest po prostu, i — zgodne z tem o przepaściach między ludźmi; ale przepaść w tym wypadku nazywa się prosto: egoizm. Tem nadmiar egoizmu u kobiet Nałkowskiej wytwarza też bodaj główną wadę jej dramatu: brak prawdziwego dialogu, takiego, w którymby dusza naprawdę zahaczała się o drugą. One wszystkie strzelają z siebie wzajemnie swojemi smutkami, nie czekając nawet pokwitowania, i to im wystarcza. Nie szukają echa...”

„Dom Kobiet” jest do wystawienia trudny i niewdzięczny; nie można powiedzieć by reżyserja w danym wypadku spełniła swe zadanie bez reszty i ukazała w sztuce to co w niej było przede wszystkim do ukazania, co należało podkreślić, wycieniować i wyczyszczać, t. j. dialog. Z pośród wykonawczyń niełatwo do grania sztuki Nałkowskiej wymienić należy na pierwszym

miejscach pp. Siemaszkową, Przybyłko-Potocką, Kamińską i Lubieńską.

O najnowszej krotkowiłi Adama Grzymały - Siedleckiego, p. t. „Mama do wzięcia”, wystawionej obecnie w warszawskim Teatrze Letnim, mieliśmy okazję już wspominać z racji jej chrztu scenicznego w Poznaniu. Już wówczas podkreśliliśmy rasowy humor tej sztuki, pomysłowość w budowie zabawnych sytuacji i konfliktów, zręczność w charakterystyce głównych postaci krotkowiłi. Dodamy dziś tylko, że „Mama do wzięcia” znalazła w Warszawie nagłoi świetniejszych wykonawców ról naczelných, niż miała w Poznaniu, dzięki czemu krotkowiłla zyskała na barwności kolorytu i wyrazistości konturów. Nic w tem dziwnego, gdy Cwiklińska gra wlejską damę „w niebezpiecznym wieku”, rozamorzowaną i rozdekłamowaną, Fortner — zбочonego szlagona polującego na „Juttgeszejty”, zaś Węgrzyn — dobrodusznego i prostodusznego kresowego rotnistrza.

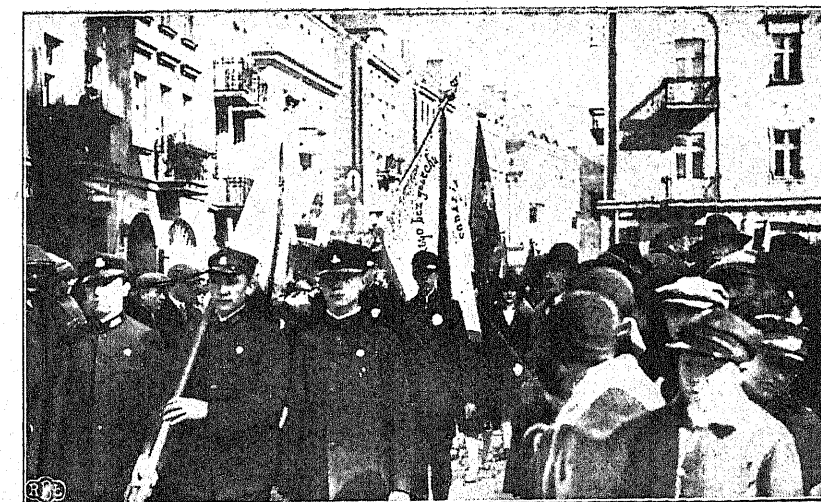
Delta.



W ubiegłą niedzielę odbyły się w Łodzi manewry strażackie Łódzkiej Straży Ogniowej Ochotniczej, które były wyrazem niezwykłej sprawności strażaków i ich wyszkolenia. Na zdjęciach od strony lewej widzimy załmprowizowaną obronę zagrożonego ogniem obiektu, na prawo zaś topornicy na mechanicznych drabinach.



W dniu 30 ub. miesiąca odbyło się poświęcenie nowej siedziby Łódzkiej Izby Rzemieślniczej Aktu tego dokonał J. E. ks. biskup dr. Tymieniecki. Powyżej widzimy od strony lewej J. E. ks. biskupa Tymienieckiego i p. wojewodę Jaszczółka w towarzystwie zaproszonych przedstawicieli władz, korporacji i zrzeszeń, na prawo zaś personel Izby Rzemieślniczej z jej władzami.



W czasie pobytu J. E. ks. biskupa Radońskiego, pastenka diecezji w Kaliszu, nastąpiło poświęcenie sztandaru w tamtejszem gimnazjum im. Tałdeusza Kościuszki. Na zdjęciach sztandar oraz defilada uczniów gimnazjum na ulicach Kalisza.

3-ci KONKURS

„Kurjera Łódzkiego”
dla naszych milusińskich

p. n.

„TYP DZIECKA POLSKIEGO”

W konkursie tym mogą wziąć udział wszystkie dzieci od lat 2-7, których rodzice winni nadesłać do redakcji „Kurjera Łódzkiego”

fotografie, oznaczone godłem,

nazwisko zaś imię i adres, winno być załączone w drugiej zamkniętej kopercie, oznaczonej tem samym godłem. Reprodukcje fotografii zamieszczane będą co tydzień w dodatku „Łódź w Ilustracji” w ilości od 12-20.

Gdyby fotografii w którymkolwiek tygodniu było więcej, kolejność umieszczenia nastąpi w drodze losowania.

Konkurs trwa do 15 kwietnia r. b.

Wszyscy czytelnicy mogą głosować na wybraną przez siebie typ wycinając odpowiadający kupon, znajdujący się w każdej niedziele w „Kurjerze Łódzkim”. Na kuponie tym należy wpisać tylko godło dziecka, na które się głosuje i w zamkniętej kopercie z nagłówkiem „Na konkurs” nadesłać pod adresem „Kurjera Łódzkiego”

Losowanie nastąpi w obecności członków redakcji po dniu 1 kwietnia 1930 r. Jako nagrody redakcja „Kurjera Łódzkiego” przesyła dla dzieci na które padnie z kolei największa ilość głosów:

- I **Kompletne ubranko letnie, składające się z garniturku, względnie sukienki, trzewiczków i kapelusika oraz żeton złoty.**
- II **Rower dziecienny, względnie kolczyki sło- te oraz żeton srebrny.**
- III **„Niezdobytą forteca” albo piękna lala i żeton brązowy.**
- IV **„Krokodyl” lub wielka piłka gumowa.**
- V **6 książek w ozdobnej oprawie z bajec- kami ilustrowanymi.**



Godło „Jaś Kędzierzawy”.



Godło „Jes Polka”.



Godło „Wisienka”.



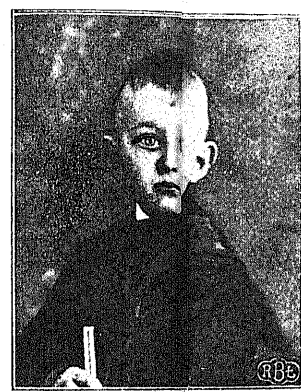
Godło „Motylek II”.



Godło „Zbyszek Sawan”.



Godło „Rovene”.



Godło „zelec”.



Godło „Aspirancik”.



Godło „Wiesio”.



Godło „Waleczny wachmistrz”.



Godło „Córka Lecha”.



Godło „Masz”.



Godło „Mała tancerka”.



Godło „Słoneczko”.



Godło „Nasz górak”.



Godło „Przyszłość Ojczyzny”.



Godło „Kuska”.



Godło „Pachnący groszek”.



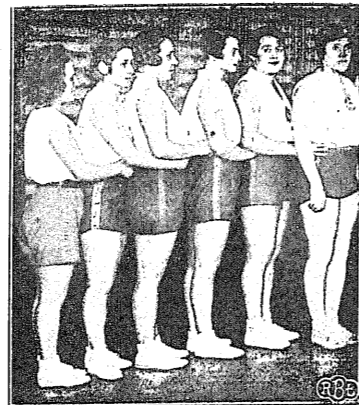
Godło „Nasza krakowianeczka”.



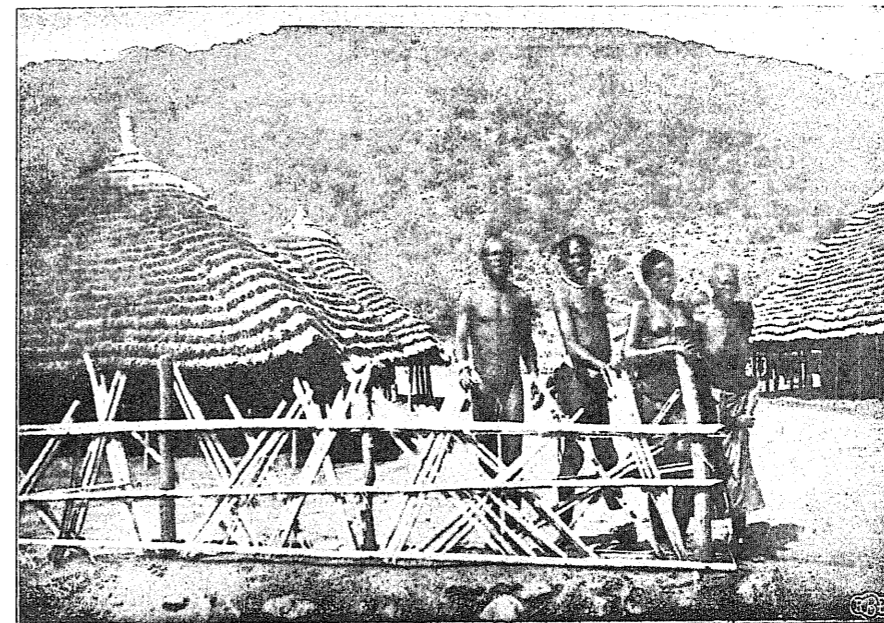
Godło „Apolo”.



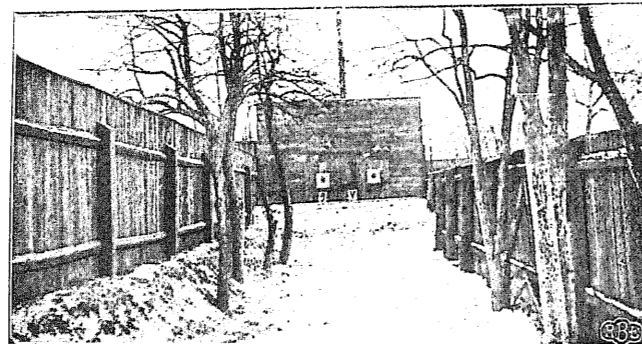
Fragment z uroczystości poświęcenia nowej siedziby Izby Rzemieślniczej w Łodzi. Na zdjęciu grupa uczestników uroczystości.



Drużyna Klubu Sportowego Łódzkiej „Rodziny Wojskowej”.



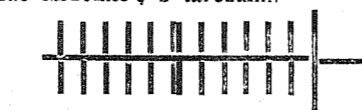
W sali Restury Rzemieślniczej w Łodzi prof. uniwersytetu warszawskiego, dr. Jerzy Loth, wygłosił odczyt n. t. pierwszej podróży polskiej przez ląd afrykański, jaką odbył w swoim czasie. Odczyt ilustrowany był banwnem: przezrociami. Pomyżej od strony lewej wieś Madii Opeii, na pograniczu Ugandy i Sudanu, na prawo zaś dr. J. Loth na rzece Kongo.



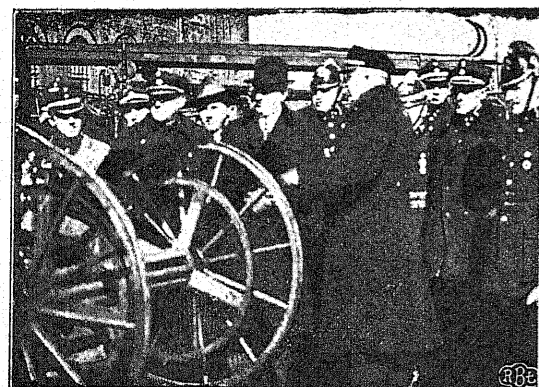
Gimnazjum męskie A. Zimowskiego w Łodzi zbudowało na swym własnym terenie wzorowo urządzone mechaniczną strzelnicę, jedyną wśród szkół łódzkich. Na zdjęciach widzimy od strony lewej fragment z nauki strzelania, odbywającej się pod kierownictwem wychowawcy fizycznego gimnazjum p. E. Kralca, na prawo zaś strzelnicę z tarczami.



Zarząd Klubu Sportowego „Rodziny Wojskowej” oraz zawodniczki z p. generałową Małachowską na czele po zawodach Łódź—Warszawa w siatkówkę.



Drużyna Klubu Sportowego warszawskiej „Rodziny Wojskowej”.



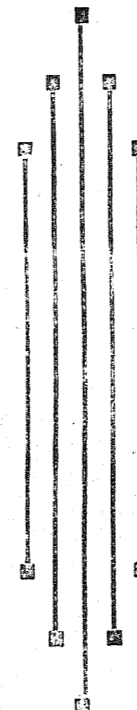
Jeden z fragmentów manewrów strażackich, jakie odbyły się w Łodzi w ubiegłym tygodniu.



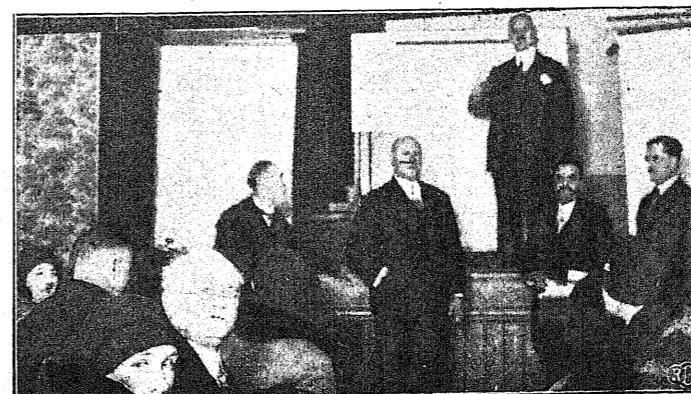
Młodzież szkół średnich Łodzi, Zgierza i Pabjanic na zawodach pływackich w basenie zgierskim



Conrad Veidt, doskonały odgrywca popularnej roli w filmie p. n. „Truciciel”.



W Zgierzu odbyły się mistrzowskie zawody pływackie uczniów szkół średnich Łodzi, Pabjanic i Zgierza w basenie zgierskim. Na zdjęciu widzimy młodzież, biorącą udział w zawodach.



W Łodzi uruchomiony został kurs alkoholologii. Pierwszy wykład z cyklu przewidzianego programem wygłosił dr. med. J. Piltz. Powyżej fragment z wykładu dr. Piltza. Obok p. wojewoła Jajszczółt.



Antonio Moreno, artysta filmowy i Billie Dove, gwiazda srebrnego ekranu w filmie „Miłość ks. Sengiusza”.

Nic nie wiem...

P. Le Biros był zdenerwowany. Po obiedzie zasiadł w fotelu dla wypalenia papierosa. Założył jedną nogę na drugą i wziął dziennik wieczorny do ręki, lecz nie czytał go. Był znanym niespokojnym, zatrwożonym. Najbardziej nęcące nagłówki nad zdrukowanymi kolumnami nie budziły jego ciekawości. I wkońcu nawet odłożył papiros.

— Co się dzieje z Solange? — zapytał się w duchu po raz tysięczny.

Rzucił gazetę na perski dywan, gdzie różnobarwne arabeski łączyły się i gonili w wdzięcznych korowodach odcieni, zerwał się z miejsca i spojrzął na zegarek.

— Już po dziewiątej! — stwierdził. — Naprawdę nie pojmuję, co stać się mogło.

Lat czterdzieści osiem, pięćdziesiąt może...? P. Le Biros nie wyglądał na swoje lata. Był bogaty, życie jego upłynęło we względnej beczynności, urozmaiconej jedynie pracą w kilku zarządach, obowiązkami towarzyskimi, różniczkowaniem starannie po to, by dostarczyć mogły sumy największego zadowolenia — i obecnością w domu kobiety młodej i pięknej, coraz to innej w biegu długich lat.

Wreszcie, w późniejszym już wieku, sześć lat temu, ożenił się z miłością z młodą i piękną, zupełnie biedną panną — Solange.

Stała się treścią jego życia — życiem samym. Ubóstwiał ją. Miał dla niej uczucie gorące i namiętne, połączone z rozważną czułością ojcowską, wynikającą z ogromnej różnicy wieku pomiędzy małżonkami. Solange pędziła życie rozpieszczonej dziewczynki.

Siedząc obecnie w swej palarni, którą niekiedy nazywał gabinetem lub pracownią swoją dlatego zapewne, aby usprawiedliwić obecność w pokoju wspaniałego biurka w stylu Ludwika XV, p. Le Biros, człowiek dotąd uprzywilejowany przez los, stał się ofiarą niepokojującej trwogi.

Solange jeszcze nie wróciła. Coś stać się musiało... przerwa w komunikacji... może wypadek?

Le Biros mierzył pokój krokami — tam i zpowrotem — od okna do drzwi, z rękoma założonymi na plecach. Amorki w freskach sufitu zdawały się naigrawać z niego.

— Stało się! — zdecydował p. Le Biros. — Jak inne, jak wszystkie inne kobiety! I ja także — jak inni... Tak! Jest odwet losu. A jednak!...

Zatrzymał się przed kominkiem i przytrzymał się twarzy swojej w zwierciadle.

— Nie zestarzałem się jeszcze, — skonstatował z zadowoleniem. Wyglądam, jak dawniej: młodo. I serce moje nie zmieniło się wcale. Od lat sześciu kocham moją małą Solange... namiętne. Jest radością mego życia, racją bytu dla mnie. Otaczałem ją taką serdeczną czułością. Ale skąd przyjąć mi mogła myśl, że odwzajemnić się musi?

Jestem starszy od niej o lat dwadzieścia. Zdradza mnie! Jestem o tem przekonany. Lecz pomimo wszystko, czy miałem prawo zerwać kwiat jej młodości? Czy mogę nazwać zdradą, że usłuchała słów miłosnych człowieka młodego, dała się porwać jego uczuciom, świeższym i młodszym — tyle młodszym od mych?

W tej chwili właśnie usłyszał odgłos dzwonka w przedpokoju, szmer głosów i kroki ludzi, niosących jakiś ciężar.

— Tędy — wolno... — mówił Jan, wierny sługa domu.

P. Le Biros rzucił się ku drzwiom. — Irwoga zdławiła mu głos w krtani. W pokoju jaskrawo oświetlonym ujrzał nieznanego człowieka i dozorcę domu, niosących bezwładne ciało kobiety — jego żony.

Złożył ją na łóżku. Pantofelki jej i pończochy, płaszcz futrzany były zabłocone. Kapelusz zbrukał się w rymsztoku.

P. Le Biros zbliżył się trwożnie. Wąska struga krwi sączyła się po błym policzku od włosów u skroni ku delikatnej, wysmukłej szyi.

— Nie żyje? — szepnął głosem zdławionym.

Nieznamy, który dopomógł dozorcę wnieść ją do mieszkania, porozumiewawszy się spojrzeniem z innymi, zdecydował się przemówić.

— Nie cierpiała wcale, proszę pana. — Stało się to przed pocztą, na bulwarze Haussmann. Pani chciała przejść przez jezd

nię. Samochód zaczął jej płaszc — upadła.

Gdy podniesiono ją, już nie oddychała. Zaniesiono ją do apteki. Tam znaleziono przy niej, w torebce ręcznej, bilety wizytowe i „pneumatyk“ pod pańskim adresem. I wówczas pomysiano, że lepiej będzie przynieść ją tutaj...

— List do mnie! — zawołał p. Le Biros. — Proszę mi go oddać! Na co pan czeka, zwlekając z tem?

Nieznamy wyciągnął z kieszeni niebieską kopertkę. P. Le Biros pochwylił ją chciwie. Czytał:

„Wybacz mi, drogi przyjacielu, ból, który ci sprawię. Lecz ty, tak pobłażliwy dla mnie, zrozumiesz mnie z pewnością...”

Nie czytał już dalej. Podarł kantkę i wrzucił ją w ogień kominka.

— Dziękuję panu, — rzekł wreszcie. Tamci usunęli się z pokoju. Le Biros został sam. Żona jego na łóżku wyglądała, jakby pogrążona w śnie. Była bardzo piękna — piękniejsza jeszcze niż za życia.

Le Biros uklęknął przy tej nieruchomej postaci, którą kiedyś trzymał w objęciach, tętniącą życiem i młodością i ujmując w obie ręce zimną, drobną, zwisającą bezwładnie dłoń, zapłakał.

— Spij spokojnie, ukochanie moje. — wyszeptał, tak, jakby Solange słyszeć go jeszcze mogła. — Nic nie wiem. Nigdy nic wiedzieć nie będę...

Tłum. L. M.



Hanka Daszyńska i Ludwik Frietsche w polskim filmie dźwiękowym „Moralność Pani Dulskiej“ według Zapolskiej.



Łódź w rocznicę strajku szkolnego.



W roku bieżącym upłynęło 25 lat od tej dziejowej chwili, kiedy polska młodzież szkolna w Łodzi wypowiedziała walkę ciemnościom ducha narodowego, stając w obronie języka ojczystego. Rocznicę tę uczcila Łódź zwołaniem i odbyciem zjazdu b. wychowanków szkół średnich męskich i żeńskich, którzy pierwsi porzucili szkołę rosyjską i puścili z dymem podręczniki szkolne. Zjazd był zatem podniosłą uroczystością. Uczestnicy dopisali, przybывая licznym ze wszech stron, nawet z za oceanu. Na zdjęciu widzialny uczestników zjazdu, znanych z pracy na polu społecznym, narodowym i naukowym obywateli, których nazwisk niepodobna wyliczyć ze względu na liczebność w sali Rady Miejskiej.